Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 7.

dnia 16. Stycznia 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

Tom I.

Errare humanum est

(Ciąg dalszy).

Pan Gozdawa, jak według zwyczaju siedział po objedzie na werandzie i fajkę paląc czytał gazetę. Lubo nie należał do zręcznych dyplomatów, ujrzawszy garbusa, natychmiast się domyślił po co przychodzi; ale ponieważ bał się, żeby go Stern zanadto nie przydusił, więc udając jakoby się niczego nie domyślał, przywitał garbusa nadzwyczaj uprzejmie, prawdziwie po sąsiedzku, i przywoławszy służącego, kazał przynieść butelkę tokaja. Gość wychylając jeden kieliszek po drugim, rozmawiał z początku o sprawach publicznych, gdy jednak postrzegł, że słońce ma się już ku zachodowi, rad nie rad musiał zejść na przedmiot, który go tu sprowadził, i w słowach ile możności krótkich a treściwych całą sprawę opowiedział. Pan Gozdawa słuchał uważnie; gdy gość skończył, tak przemówił:

— Bardzo panu jestem wdzięczny, mosterdzieju, żeś się do mnie po to trudził; panu Sternowi za jego dobre chęci sercunciu, także jestem prawdziwie obowiązany, ale o ile mi się zdaje mosterdzieju, z tej mąki chleba nie będzie. Pan Stern dusi, no i ja się temu nie dziwię, boć to kupiecki zwyczaj, ale ja sercunciu nie mogę bez brzytwy dać się zarżnąć. Kto bo słyszał mosterdzieju, abym za każdy dzień zwłoki, w razie nieodstawienia wszystkiej pszenicy do pierwszego listopada, płacił po 25, a za każdy korzec, którego braknie do tysiąca, po 50 guldenów? Co za wiele sercunciu to za wiele!

— Pan Stern utrzymuje, że na inne warunki przystać nie może.

— Jeźli tak, to trudna rada mosterdzieju; Co do mnie, mam nadzieję, że przy pomocy sąsiadów, z którymi już o tem mówiłem, moje dziury połatam, a pan Stern sercunciu gdzieś indziej swoje kapitały ulokuje. Zresztą, nie mogę tego także uczynić choćby przez wzgląd na mojego syna, który mnie mosterdzieju jeszcze wczoraj przestrzegał przed takiemi interesami.

— Więc pan Ryszard przyjechał? — garbus z zadziwieniem zapytał.

— Przyjechał mosterdzieju, przyjechał i już więcej nie odjedzie. Teraz w Starejwsi będziemy razem gospodarzyli. Ale prawda sercunciu, na śmierć zapomniałem! Przecie to pan kolegowałeś z Ryszardem... właśnie wczoraj o tem mi wspominał. Mój syn niezmiernie się ucieszy mosterdzieju, bo i on uważa siebie za człowieka pracy, chociaż ja się z tego śmieję sercunciu! Żaden jeszcze Gozdawa nie był uczonym, ani plastrów nie lepił! Hej! Franek! poproś no panicza.

Garbus wyciągnął rękę, jakby temu chciał przeszkodzić, nim jednak usta otworzył, na werandzie Ryszard się zjawił. Usłyszawszy głos ojca, przybiegł kolegę powitać.

Garbusek powstał od stołu i w ręku mnąc kapelusz stanął na boku. Wyglądał jak student, który niespodziewanie znalazł się przed profesorem.

— Henryku! nie poznajesz mnie? — Ryszard podchodząc zapytał.

— I owszem... lecz nie śmiałem...

— Co, nie śmiałeś przywitać się z dawnym kolegą? Wstydź się, wstydź Henryku!

To powiedziawszy objął garbusa za szyję i serdecznie ucałował. Pan Gozdawa, który z zadowoleniem tej scenie się przypatrywał, rzekł teraz:

— Brawo Rysiu! Tak mi się podoba mosterdzieju! Koledzy powinni do grobowej deski poznawać się i kochać, bo to nie żarty sercunciu siedzieć, i jak się czasem zdarzy, brać na jednej ławie. — Potem zaś dodał w duchu: — Ten mój chłopiec mosterdzieju ma doprawdy serce złote... Jak by mi kto kazał taką małpę pocałować, jak mi Bóg miły sercunciu, oddałbym com jadł jeszcze na Wielkanoc.

Podczas gdy pan Gozdawa takie sobie w duchu robił uwagi, koledzy już się na dobre rozgawędzili. Garbus ośmielony serdeczną poufałością Ryszarda, o którym dawniej myślał, że się do niego nie zechce przyznać, zaczął nie tylko dawne czasy przypominać, lecz nawet żartować, a Ryszard słuchając go dorzucał gdzie niegdzie słowa wesołe. Gdy nareszcie Henryk powstał i żegnać się zaczął, kolega postanowił go odprowadzić.

Szli tą samą ścieżką, przez pola ku kładce. Ryszard opowiadał teraz o Francji i Niemczech, o profesorach i postępie nauk w uniwersytecie lipskim, o ludziach na Zachodzie, ich pracy i usiłowaniach. Gdy skończył, garbus przemówił:

— Dziwi mnie niezmiernie kolego, że tyle pięknych rzeczy porzuciłeś dobrowolnie, aby męczyć się na tej ziemi niewdzięcznej i wśród stosunków tak okropnych.

— A mnie się zdaje, że na stosunki tutejsze zbyt czarno się zapatrujesz. Wszędzie mój drogi człowiek musi walczyć, aby zamiast nagrody zbierać rozczarowanie i boleść. Zresztą i o tem pamiętaj, że choćby świat tamten był najpiękniejszy, my do naszego, lubo ubogi, tęsknić nie przestaniemy, bo to nasz własny, ojczysty...

Garbus jakiś czas milczał.

— Mnie się zaś wydaje — rzekł nareszcie — że pod słowem ojczyzna powinniśmy sobie wyobrażać nie ziemię, która nas karmi, i niebo, które nas nakrywa, te bowiem w środkowej Europie mniej więcej wszędzie do siebie podobne, ale ludzi, wśród których wzrośliśmy i żyjemy. Powiedz mi teraz Ryszardzie, jaką wartość mają dla nas tacy ludzie, którzy nas nigdy do swej piersi nie przycisnęli, ciepłem swego łona nie ogrzali, którzy największą łaskę nam wyświadczają, jeżeli raczą na nas spojrzeć z politowaniem? Czyż nie lepiej takich porzucić, a szukać innych, i tym sposobem inną sobie stworzyć ojczyznę?

Ryszard zrozumiał kolegę. Dar spostrzegawczy, który w wysokim stopniu był w nim rozwinięty, zaraz mu powiedział, że ten biedny człowiek tylko dla tego bluźni, że w społeczeństwie żyje sam jeden, przez nikogo niekochany i przez nikogo nierozumiany. Zamiast mu więc tłumaczyć, co właściwie słowo ojczyzna znaczy, wolał go raczej zapytać:

— Powiedz mi Henryku, bardzoś ty nieszczęśliwy?

— Czym nieszczęśliwy! Boże! pierwszy człowiek, który mnie o to zapytał. O! mój Ryszardzie, jeźli kto na świecie, to z pewnością ja mogę się najbardziej na mój los skarżyć. Bo też życie moje całe, to jedno pasmo cierpień, zawodów i wstydu! Przyszedłszy na świat z rodziców biednych, którzy na domiar nieszczęścia wcześnie mnie odumarli, walałem się jak pies po domach dalekich krewnych i obcych, a gdy nareszcie po wysiłkach nadludzkich, jako stypendysta do szkół się dostałem, zamiast znaleźć spokój upragniony, musiałem znowu walczyć i uczyć się ludzi nienawidzieć. Przypominasz sobie naszych kolegów... Czy prócz ciebie i Juljana, którzyście mnie zawsze bronili, inni ulitowali się kiedy nademną? Ileż śmiechów, szyderstw, obelg, nawet uderzeń, musiałem codzień znieść cierpliwie!... Nareszcie szkoły niższe skończyłem, zdawszy maturę z wyszczególnieniem. Poszedłem na wydział prawniczy, a kiedy po dwóch latach ciężkiej pracy i walki z życia potrzebami, zapytałem raz pewnego radcę, jaką karjerę radziłby mi obrać sobie, sądowniczą czy administracyjną, on uśmiechnąwszy się z politowaniem, odpowiedział: „Jeźli mam prawdę wyznać, ani w jednej, ani w drugiej nie zajdziesz daleko, świat bowiem jest tak niesprawiedliwy, że więcej na pozory, niż na zasługi uważa.“ Nie wiem czy ów radca dobrze zrobił, że mnie wtedy zimną wodą oblał, ale pamiętam, że głównie jego słowa kazały mi studja prawnicze porzucić. Wiedząc jaka była przeszłość moja, uwierzyłem mu na słowo, i ulękłem się przyszłości... Z mojem wyglądaniem, które jednych odstrasza, drugich oburza, trzecich bawi, nie mogłem później zostać ani księdzem ani nauczycielem, a że koniecznie żyć było potrzeba, więc utrzymywałem się z lekcyj udzielanych w kilku pensjonatach. Gdy

i tego chleba brakło, musiałem pójść w służbę do żyda!

Ostatnie słowa z taką goryczą wymówił, że Ryszard długo ust nie otworzył. Uszli też kilkadziesiąt kroków, zanim ośmielił się zrobić uwagę:

— Z wszystkiego może w rzeczy samej to najsmutniejsze...

— O! i jam tego zdania Ryszardzie! Służyć człowiekowi, który sam honoru nie mając, człowieczeństwa we mnie uszanować nie umie; który dla tego, że się fortuny Bóg wie jak dorobił, w sposób najbrutalniejszy okazuje zawsze swoją wyższość; służyć człowiekowi, którego rasa zaprzysięgła zgubę mojej rasie — patrzeć na jego chytrość, przewrotność, łakomstwo, i nie rzucić się na niego, nie zdusić go, lecz przeciwnie być mu oddanym i posłusznym... zaiste jest to coś tak potwornego, że gdy o tem pomyślę omało mi głowa nie pęknie!

Właśnie gdy te słowa głośno i z zapałem wypowiadał, mając ku ziemi oczy spuszczone, koledzy znajdowali się tuż pod oknami Ekonomówki. I żaden z nich uwagi nie zwrócił na jej mieszkańca, który obok furty na ławce siedząc, musiał najwyraźniej słyszeć ich rozmowę.

— Jeżeli rola sekretarza Sterna tak ci cięży, Henryku, o czem ja zresztą nie wątpię, to chyba najlepiej będzie, jeźli ją coprędzej porzucisz. Człowiekowi z temi co ty zdolnościami, o kawałek uczciwego chleba powinno by być łatwo.

— Tak sądzisz? O! w Galicji trudno o niego, bardzo trudno.

— A więc ja się sam zajmę i rychło ci go znajdę, zanim zaś to nastąpi, przyjm tymczasem u nas gościnę.

Garbus wypatrzył się na kolegę, jakby własnym uszom nie wierzył.

— Bóg ci zapłać Ryszardzie! za twe serce złote, ale ja ani twoich usług, ani twojej gościnności przyjąć nie mogę. Przykuty do wozu przeznaczenia, powlokę się za nim bez skargi, bo muszę... muszę...

Ostatnie dwa słowa tak cicho wymówił, że je kolega ledwie usłyszał. Nie chcąc okazać się zbyt natrętnym, nie napierał więcej, i pożegnawszy garbusa przy kładce, wrócił do domu w duchu tem się pocieszając, że gdy się lepiej zaprzyjaźnią, Henryk jego rady usłucha.

Garbus wracał tymczasem powoli, krok za krokiem, jak człowiek, który bardzo się utrudził. A trudem były tym razem wrażenia, nie droga.

W bramie spotkał Rózię.

— Z kim to pan tak długo stałeś przy kładce i rozmawiałeś? — wesoło zapytała w oczy mu patrząc

— A pani nas widziała?

— Widziałam, widziałam, wracając z kąpieli przez ogród Onufrego.

— I kogóż pani widziałaś?

— Pana i jeszcze drugiego mężczyznę. Słuszny brunet, śliczny, ach! śliczny!... To pewnie syn pana Gozdawy?

— Tak jest... to on...

— Ach! panie Henryku, gdybym też mogła dostać takiego męża!

On wlepił w nią wzrok przerażony, ona zaś inaczej to sobie wytłumaczywszy, jakby chcąc się poprawić dokończyła:

— Mój Boże! Czemuż mnie żydówką stworzyłeś?

ROZDZIAŁ VII.

RÓŻNE ZDARZENIA.

Pan Gozdawa nie fanfaronował mówiąc garbusowi, że ma nadzieję iż sąsiedzi mu pomogą. W rzeczy samej mogło to nastąpić. Należało tylko kuć żelazo póki było gorące.

W pobliżu Starejwsi mieszkał pan Lachocki, człowiek niezmiernie bogaty, ale dorobkiewicz który z tego powodu między szlachtą nie zażywał miru wielkiego. Pan Gozdawa zjechawszy się z nim przed kilku dniami gdzieś w sąsiedztwie, zaczął coś mówić o swoich interesach, a że winko było niezłe i w fajce tytoń wyśmienity, więc słówko po słówku opowiedział mu szczegółowo swoje położenie.

Pan Lachocki potrząsł głową i głosem słodziutkim rzekł:

— Bardzo mi przykro szanowny sąsiedzie, że z tak wielkiemi kłopotami sam walczysz. Ale czemu to pan Ryszard nie pomaga sąsiadowi dobrodziejowi, a swemu ojcu szanownemu?

— Bo ja mosterdzieju nie chcę syna mięszać do tych rzeczy. To chłopak jeszcze młody sercunciu, a więc niedoświadczony. Prócz tego na co mu głowę kłopotami obciążać, kiedy mosterdzieju i bez tego ma w niej dosyć takich nauk, od których jabym był już dawno zwarjował.

— Ale syn sąsiada dobrodzieja ma ponoś po nieboszce matce kilkadziesiąt tysięcy, któremi Starejwsi mógłby wielce pomódz.

Pan Gozdawa skoczył jak oparzony.

— Mosterdzieju, o tem ani słowa! Jego matce, a mojej żonie, przyrzekłem przy łożu śmiertelnem, że z pieniędzy syna nigdy grosza nie wezmę i jakem Gozdawa sercuńciu, dotrzymam przysięgi!

Pan Lachocki zażył tabaki i jedno oko przymrużywszy, jak to u niego było w zwyczaju, gdy nad czem myślał, po dłuższej przerwie zapytał:

— No, to może pan Ryszard zechce się bogato ożenić?

Mówiący miał córkę na wydaniu.

— Zapewne mosterdzieju, ale ja się i do tego nie mięszam! Syn swoją drogą, a ja moją.

Pan Lachocki widocznie miał plan z góry ułożony, skoro nie odstraszył się tą dość stanowczą odpowiedzią i po niejakim czasie znowu zagadał:

— Bardzo to pięknie i chwalebnie że sąsiad dobrodziej z własnym synem taki skrupulatny, lecz gdy z drugiej strony złemu zapobiegać należy, więc może kiedyś, jak czas pozwoli i chęci będą po temu, szanowny sąsiad zaglądnie do mojej chałupiny. Przy szklaneczce i fajeczce swobodniej pogadamy, i zobaczymy czy się co nie zrobi... Ja tam wiele sam nie mogę, ale kto wie czy z innymi sąsiadami do spółki nie dałoby się ocalić majątku, po który już żydzi brudne łapy wyciągają.

— Do krocset, mosterdzieju! cóż to sobie sąsiad myślisz? Przecie nie mówiłem żeby u mnie już tak źle było.

— Uchowaj Boże! szanowny sąsiedzie, i ja bynajmniej tak nie myślałem... Mówiąc, że żydzi po Starąwieś łapy wyciągają, chciałem tylko dać do zrozumienia, że żydowstwo rade by nas wszystkich wyzuć z majątków. Gzyż to szanowny sąsiedzie oni i o mnie nie myślą? Straszna to plaga, okropna! Trzeba zatem bronić się, żeby im się nie dać zjeść w kaszy.

— Nie damy się, mosterdzieju, nie damy!

— Jeźli łaska zatem — kończył pan Lachocki — niech szanowny sąsiad zaglądnie kiedy do Wiewiórki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

P. de Moranes znowu zamilkł. Głos jego stał się uroczystym; zdawało się, że się nie chce rozczulać.

— Nie mogę powiedzieć — mówił po chwili z pewną melancholją, która przebijała mimo silnej woli — aby Wiktorja Thieblemont była towarzyszką moich zabaw; ja nigdy nie bawiłem się. Byłaby mogła chyba nudzić się ze mną, gdybym się umiał nudzić. Towarzyszyła ojcu w codziennych wycieczkach do kanonika. Zostawiano nas samych przez długie godziny, abyśmy nie zawadzali naszym opiekunom. Stara gospodyni wuja strzegła nas więcej, niż stare księgi, foljały, pergaminy obrazy zczerniałe i posągi biblioteki kanonika. Z murów i wszystkich tych starożytności rozchodził się zapach pleśni, do którego się przyzwyczaiłem, sypał się popiół, jak lawa Wezuwiusza, która zasypując mieszkańców Pompei nie zniszczyła ich śladów. Mnie nie irytowała ani nudziła ta atmosfera. Wiktorja co chwila chciała się z niej otrząść. Przypominam sobie teraz że prawie ustawicznie namawiała mnie do buntu; o! do bardzo niewinnego, bo mieliśmy wykraść się z domu kanonika, aby pobiedz do klasztoru, do katedry. Pola nie znaliśmy. Wiktorja pytała mnie o lasy, łąki, zieleń, powietrze...

Pewnego dnia mieliśmy pojechać do Dombasle, by zbadać jakąś mogiłę świeżo odkrytą. Była to podróż nadzwyczajna, powozem. Zabrano nas. Wiktorja nie posiadała się z radości, klaskała w rączki, płakała ze szczęścia. Podczas gdy dwaj archeolodzy kopali i szukali, my zostaliśmy w polu. Wiktorja rwała trawę rzucała mi ją w twarz, pociągała mnie swoją radością i szaleństwem. Oślepiony byłem jasnością, jak ptak nocny zmuszony do lotu w samo południe. Jeżeli mnie zarażała wesołość mej towarzyszki, to gniewała i irytowała mnie zarazem. Strofowałem ją. Byłem dumny jakby z odniesionego jakiego zwycięstwa, gdy ją poskromiłem, smutek napędzajac na jej czoło. Miałem lat szesnaście, ona dziewięć, ale była równie wysoką jak ja. Ów spacer, którego wspomnienie często mnie nawiedza, od czasu... gdy zostałem wdowcem, jest jedyną wycieczką pod sklepienia niebios, do owego muzeum natury. Potem mieszkałem na wsi i często wychodziłem z żoną i dziećmi na przechadzkę, ale nigdy już nie zaznałem tego uroku, swobody, powietrza, lazurowego nieba, życia, które ożywiało Wiktorję, a mnie oburzało... Od tego dnia panna Thieblemont stała się spokojną, cichą. Nie gniewała się, ale skorzystała z lekcji. Mówiliśmy dawniej zawsze ze sobą głośno, odtąd zaczęliśmy mówić po cichu, szeptać, przebiegając

dom kanonika ostrożnie na palcach... Nabierałem gustu do nauki; wuj był zadowolony. Pojechałem do Paryża, do kolegium, powróciłem z tamtąd z dyplomem archiwisty, okryty sławą z powodu kilku artykułów, napisanych do dzienników naukowych. Paryż nie podobał mi się. Żyłem za skromnie; ale opuściłem go bez żalu... Jest to też dziwactwo, albo błąd mej natury; pozostaję obojętnym wśród zgiełku. Nie moja zasługa, że lubię ciszę, nigdy nie byłbym został Paryżaninem. Ani mieszkańcem wsi, ani miasta nie jestem. Może wuj zbłądził, że mnie nie zamknął w klasztorze. — Zastałem stary dom, takim, jakim go zostawiłem. Wiktorja wypytywała mnie o Paryż, ale nie brała za złe, że nie wyglądałem na Paryżanina... Przyznam ci się z całą szczerością, że nie była dla mnie niczem więcej jak tem, czem była dla ojca swego i wuja; istotą miłą, cierpliwą, uprzejmą; która słodkiem i lękliwem szczebiotaniem urozmaicała nasze uczone rozprawy. Nikt z nas nie zważał czy była ładną; ja sam nie widziałem tego z początku, gdy przyjechałem... Pewnego dnia z dumą spostrzegłem, że jest piękną... Widzisz, że nie ukrywam prawdy. Czy to pan Thieblemont powziął myśl połączenia nas? czy mój wuj? Może jednocześnie powzięli tę myśl wśród dysputy nad jakim napisem hieroglificznym lub faktem historycznym, przedpotopowym. Nie poradzili się nas wcale. Gdy otrzymałem na uniwersytecie stopień doktorski, wuj rzekł do mnie: „Janie mamy dla ciebie niespodziankę; ożenisz się z Wiktorją!“ Miałem lat dwadzieścia pięć; wszyscy zgadzali się na to, że wyglądam na czterdzieści. Wiktorja miała lat dziewiętnaście. Wszyscy razem pojechaliśmy do Paryża, aby być na posiedzeniu akademickiem. Pochwalono mnie na niem za memorjał, który był tylko powtórzeniem rozmów uczonych z wujem i panem Thieblemont... W chwili, gdy wymieniono moje nazwisko, Wiktorja zarumieniła się cała, a jej włosy blond zabłysły fosforycznie. W ten czas to spostrzegłem, że jest piękną; serce zabiło mi gwałtownie, uczułem, że ją kocham... Czy jej to kiedy powiedziałem? nie byłbym śmiał, ale ściskałem jej rączkę, a ona uśmiechała się rumieniąc, jak nigdy przed tem... I jej zdawał się Paryż gwarnym, zrozumiała zatem, że wolałem nasz klasztor w Verdun. Powróciliśmy narzeczonemi, z owego posiedzenia akademickiego. Zdawało mi się to zupełnie naturalnem, że poślubię dziewicę, którą znałem od dzieciństwa, której charakter podobał mi się, a którą tak wzruszyła pochwalna o mnie wzmianka. Wiktorja także poddała się temu bez wahania. I dla czegoż by miała się sprzeciwiać? Kogoż byłaby wybrała?... Mówię o tem jak o wypadku, którego świadkiem byłem, zamiast że powinienem był zostać jego bohaterem... Bohaterem? Mąż nim nigdy nie jest... Ślub nasz odbył się cicho. Zamieszkaliśmy z początku w domu wuja, nazajutrz zaś życie wczorajsze szło dawnym trybem.

P. de Moranes znów przestał mówić. Dziwny niepokój ukazywał się na jego twarzy. Oczy schowały się pod brwi krzaczyste i dziko połyskiwały. Nie wiedział jak przejść do uczuciowej chwili życia, która miała go uniewinnić lub potępić. Musiał jednak wytłumaczyć, jakim sposobem stał się owym sędzią sprawiedliwym, a wahał się oskarżać matkę przed synem, czy przez skrupuł ojcowski? Kto wie? może przez wyrzut sumienia.

P. de Moranes mówił z cicha dalej:

Podobieństwo naszego przeznaczenia leżało w równych usposobieniach naszych. Znaliśmy się od zbyt dawna, nie mogliśmy się zatem wzruszać ciekawością, upajając ową niepewnością lękliwą, ową ambicją, aby się wzajemnie zrozumieć, które tworzą romans nowożeńców. Myśmy z naszej dawnej samotności stworzyli sobie ciche pożycie razem. Już przed ślubem mówiliśmy sobie „ty“. Nazajutrz nie było nam trudnem przemawiać do siebie jak mąż i żona, bo dawno byliśmy sobie bratem i siostrą. Znalazłem Wiktorją dobrą, inteligentną, zdolną do zrozumienia myśli moich, jeśli nie chętną do podzielenia mej pracy. Spodziewałem się, iż ją zadowoli pewność, że nigdy innej rywalki nad naukę mieć nie będzie. Jej umysł słodki, wzniosły, przyzwyczajony do obowiązku od dzieciństwa zdawał mi się niezdolnym do zdrady. Nie mogłem wątpić o jej szlachetności... Odtąd często pytałem sam siebie, czy ludzie zamiłowani w nauce, nie powinni się zdecydować na celibat klasztorny, zagłuszyć zmysły, albo je zaspokoić jak pragnienie lub głód, nie oszukując ich owemi związkami przyjaźni, które często więcej są wymagające, niż związki miłości gorącej, niepohamowanej. Czy mogłem przewidzieć, że owa szlachetność ulegnie tchnieniu pospolitego bałamuctwa? Czy mogłem odgadnąć to, czego się nie nauczyłem? Mogłem spodziewać się wszystkiego; jej zobojętnienia, jej wstrętu. przywiązania do kogo innego. Ale sądziłem, że jest dosyć odważną, ażeby zwierzyć się przedemną w chwili jakiejś pokusy straszliwej, nie myślałem, że jest o tyle bezczelną, aby mnie zdradzać chciała.

P. de Moranes wymówił te słowa z taką energją i groźbą, że Abel, jakby chciał błagać za matką poruszył się z boleścią.

— Prawda — rzekł baron uspokajając się — obelgi nie pomszczą mnie, a byłbym podły, gdybym chciał z ciebie zrobić mego wspólnika. Nie umiałem pozyskać zaufania, a nie znałem zmienności kobiet, aby się obawiać... Zostałem ojcem dwojga dzieci... Wystawiałem sobie, że wy będziecie rozrywką wśród nudów... Gdy wuj umarł, gdy złączyłem jego majątek z moim, zdawało mi się że zrobiłem dosyć dla rozszerzenia horyzontu gospodarczego, gdy wymyśliłem niespodziankę dla żony. Kupiłem w Ardennach nad brzegiem Mozeli pałac, w okolicy malowniczej, dostarczającej pani de Moranes, owego powietrza, nieba i światła, którego tak spragnioną była, aby tem ozłocić twarz syna, a dodać czerstwych sił dziewczynce... Cieszyła ją ta zmiana. Dziękowała mi, jak gdyby to uwalniało ją od owych strasznych mumji i bożków starego wuja...

Prawda, że znów spotkała je w swoim pałacu. Ale tutaj zdala od klasztoru, seminarjum i katedry nie straszyły jej wcale; to też chcąc mi okazać, że nie tylko pragnęła powietrza, nieba, pól malowniczych, gdy mnię namawiała do kupienia tej majętności, przez cały rok pomagała mi w ustawieniu starożytności moich, owych bóstw potwornych, i bogiń brzydkich, które ją nudziły od dzieciństwa. Dowiodła, że zna się na tem; przypomniała mi, że jest córką uczonego, jak ja byłem siostrzeńcem badacza. Pan Thieblemont żegnał nas ze smutkiem. Więcej żałował bóstw kanonika, niż córki i wnuków. Byłbym go zabrał, córka go kochała, jednak wyperswadowała mu że został... Pani de Moranes była w pierwszym roku zamieszkania tam, tak ożywioną jak podczas owej podróży do Dombasle. Ja sam upajałem się przez kilka miesięcy powietrzem i słońcem. Prędzej się ocknąłem niż Wiktorja; ulegałem nostalgji więźnia. Pozwalałem wam bawić się na trawnikach, byłem zadowolony, gdy patrzałem na was bawiących się pod mojemi oknami. Cieszyłem się owym mądrym porządkiem i harmonją natury. Kobieta młoda, piękna, szczęśliwa wśród swoich dwojga dzieci, ja pracujący gorliwie, zwracający moje oczy strudzone czytaniem hieroglifów na wasze trzy głowy ukochane, czyż to nie był odpoczynek ożywczy, logiczny, życiodajny? Czy byłem egoistą, myśląc tak? Obojętnym, skoro nic innego żonie mojej nie życzyłem? Czy trzeba było porzucić naukę, aby trwonić czas na sam na sam sentymentalne? Matka twoja zdawała się zadowoloną, byłem spokojny. Ta słodka harmonja jeszcze więcej usposobiła mnię do studjów. Wasze krzyki wesołe, które z początku odrywały moje oczy od książki, teraz były powodem, że zamykałem okno. Pracowałem gorliwiej niż w Verdun, czy to mnię zgubiło?

P. de Moranes znów zamilkł. Ostatnie słowa stawały się trudnemi. Owo spokojne, cierpliwe, i ciekawe spojrzenie syna mięszało go. Chciał być szczerym, o niczem nie zapomnieć, ale obawiał się, czy nie przedstawia się zbyt zimnym, opowiadając jak po kilku latach małżeńskiego pożycia powrócił do życia benedyktyńskiego, lub czy nie obwinia za bardzo żony, malując spokój domowy, otoczony męża sławą, która powinna była starczyć za szczęście.

Spiesznie, miotany gniewem, który hamował, mówił dalej.

— Czy, gdybym cię był przy sobie trzymał, byłbyś mnię lepiej bronił, niż twoja siostra?... Nie miałem czasu aby się twojem wykształceniem zająć. Napawałem się dumą, że kiedyś będziesz wspólnie ze mną pracował; wysłałem cię szukać nauki. Matka nie powstrzymała cię, nie broniła poświęcić ciebie mojej ambicji. Pojechałeś do Paryża, potem do Anglji. Czy byłem tyranem? A! gdyby twoja matka była mi powiedziała, że za wielką ciszą otoczyłem ją, byłbym cię zatrzymał, przywołał! Miałem jednak przeczucie, nie otchłani, która się otwierała, lecz obawiałem się owej monotonnej egzystencji, na którą się matka nie skarżyła, ale z powodu której cierpiała. Namawiałem ją do wizyt w sąsiedztwo. Urządzano wycieczki, polowania, kawalkady. Zgiełk ten nie raził mnię; była to gimnastyka dla mnię nie potrzebna, która uwalniała mnię jednak od głupich rozmów salonowych. Na takie festyny, które są zbiorem głupstwa i zarozumiałości, nie byłbym nigdy zezwolił; uważałbym je za zniewagę umysłową. Ale tentent koni, odgłos trąb, który wstrząsał szybami i przerywał moją ciszę na godzinę, znów się oddalając wydawał mi się głosem prawidłowym natury. Rozkoszowałem się odjazdem, powrotem, wśród czego cieszyłem się moim spokojem. — Oni się bawią, powtarzałem sobie, ja pracuję; wszyscy jesteśmy zadowoleni. Matka twoja korzystała z tego życia hałaśliwego, a jej humor i zdrowie znacznie się polepszyły; wkrótce jednak i to jej się sprzykrzyło. Cieszyłem się, że ją to bawi, a ucieszyłem się jeszcze więcej, gdy się tem znudziła. Pałac został głuchym, matka milcząca, a pan de Somery był nadal jedynym codziennym gościem, z owej kawalkady, która z krzykiem pojechała dalej. Ja pierwszy zostałem nim zachwycony. Był to człowiek nie tylko elegancki, przyjemny, ale znał się na wszystkiem. Pierwszy raz, gdy mu pokazałem moje bóstwa, pokłonił się im, jak dobrym znajomym. Był to jeden z tych ludzi, co nic nie studjując, słyszeli o wszystkiem, którzy zgarniając inteligentnie wiedzę drugich, zbierają jej plony i zadziwiają nas tem, czego się właściwie nie uczyli. Zresztą człowiek najlepszego wychowania, kawaler wierny pojęciu o niestałości szczęścia, nieskazitelny, chociaż miewał dużo szczęścia, z którego nie chełpił się nigdy; przystojny, dobry jeździec, dobry myśliwy, przyjemny towarzysz, marzyciel czasami, bo zamyślał się nieraz wśród uczonej rozprawy; aby zaś zagrzać entuzjazmem spojrzenie kobiece, wskrzeszał z moich starych pomników jaką postać poetyczną, którą odziewał w podanie bohaterskie lub uczuciowe z całym wdziękiem swej wymowy. Śmiałem się, gdy widziałem matkę lub inną z pań do łez gotową... Zdaje mi się, że nie powinienem był się śmiać, lecz wspólnie z nim opowiadać, by przy nim nie tracić na wartości. A teraz, Ablu, trzeba żebyś stał się równie starym jak ja, abym mógł dokończyć; starszym odemnie abyś wydał wyrok... Nie będę opowiadał dalszego przebiegu tej sprawy, bo nie znałem jej aż do samego końca. Czy moje życie czynne, zamknięte w książkach podnosiło wartość życia próżniaczego pana de Somery? Czy moja dobroduszność tak była straszną, że nawet przestaliśmy się rozumieć nawzajem? Czy urok światowca przyćmił człowieka, którego szanowano właśnie dla jego nauki? Wreszcie pozwól mi zapytać cię moje dziecię, czy podobnem jest, aby kobieta najinteligentniejsza, najdumniejsza, uległa jak prosta dziewczyna, zapominając o swej wyższości umysłowej, czarowi piękności powierzchownej? Pytam się o to, a wszakże sam zostałem zrazu pociągniętym, olśnionym.

Było to w lipcu, w dzień gorący, duszny, po obiedzie; byłem w bibliotece... przypominam sobie jej rozkład.

Była mało podobną do tej tu, i nie tak zbiorami przepełniona. Matka sama wszystko urządziła. Chciała w początku naszego zamieszkania w Ardenach, poustawiać meble modne wśród sztalug i posągów moich. Przychodziła tutaj z robótką i marzyła nieraz o zakątku, który urządziła jakby swój budoar. Pozwalałem na to, miło mi było czuć ją blisko siebie, zachęcającą mnie swojem milczeniem do pracy. Nie spostrzegłem zrazu, że pomału zaczęła opuszczać to sanktuarjum, które sobie u mnie stworzyła. Tego dnia byłem pod wpływem dusznej atmosfery, — napełniającej powietrze. Prawie zdrzemnąłem się tam pod ową rzeźbą, którą odtąd wsunąłem za wszystkie inne, którą chciałem skruszyć, którą możemy obaj teraz zniszczyć, jeżeli zechcesz. Była to podstawa ołtarza meksykańskiego, kamień ofiarny. Słońce już zeń wypiło plamy krwawe, a jednak ów kamień pozostał krwawym... Tego dnia dużo rozmyślałem przez cały ranek o tych ofiarach ludzkich, które nie tyle świadczyły o instynkcie zwierzęcym, ile o życia pogardzie. Porównywałem ową podstawę do kamienia ofiarnego Druidów, a w mojej wyobraźni przesuwali się kapłani meksykańscy, podające krwawe, drgającego serca ofiary bóstwom kamiennym, i kapłani galijscy pod rozłożystemi dębami... Wśród tych marzeń wziąłem do ręki jeden z owych noży kamiennych, które służyły do zabijania ofiar, i wśród owych wspomnień historycznych siliłem się odgadnąć, po przeczytaniu kilku oddziałów z „Kosmos“ substancją owego kamienia wulkanicznego, tak rzadko napotykanego w wulkanach europejskich. Znajdowałem się jak w letargu fizycznym i moralnym. Nie widziałem nic jasno, chociaż widziałem wiele rzeczy na raz, byłem bliski kompletnego zaśnięcia... drzwi od biblioteki wychodzące do parku stały otworem na rozcież.

W tej chwili pan de Moranes zamilkł mimowoli. Zakrztusił się, porwał kołnierzyk od koszuli i rozdarł go,. aby odetchnąć, poczem dalej mówił:

— Co chwila powiew jasny wkradał się tutaj i oświetlał czoła moich bożyszczów, zdając się ożywiać owe bogi zamarłe. Widzisz, i ja miałem chwile poetyczne... A! poezja nie jest dobrą dla ludzi uczonych; ona ich ogłupia i o szaleństwo przyprawia! Gdybym był stał na zwykłem mojem miejscu przy pracy, nie zważając na zapach lata i słońca, byłbym stanął oko w oko niebezpieczeństwu, byłbym zobaczył tych, którzy wchodzili właśnie, nie widząc mnie i nie będąc przezemnie widzianymi. Byliby się cofnęli; ja byłbym oszukanym i wierzyłbym do dzisiaj. Byłoby to może lepiej dla was; nie powiem dla mnie, bo mimo największego bolu wolę jednak prawdę. Szczęście nieświadomości, jest także oszukaństwem, więcej upadlającem... Byłem w cieniu. Ci co wchodzili, byli oślepieni promieniami słońca, nie mogli mnie widzieć... Gdy nie spostrzegli mnie na mojem właściwem miejscu, sądzili, żem wyszedł. Wtenczas weszli cicho, zwolna, w róg umeblowanej biblioteki. W mojem pół uspieniu usłyszałem kroki na piasku, potem głosy, które naraz zamilkły... Wiedziałem że pan de Somery przyjechał z wizytą; widziałem go przechodzącego przez ogród. Owo milczenie po głosach szepcących obudziło mnie. Słuchałem; a podniósłszy głowę, patrzałem... Rozmowę przerwaną prowadzono tak cicho, że chciałem wybuchnąć śmiechem i zawołać na nich, aby sobie nie zadawali przymusu i mówili głośno, bo nie pracuję. Ale to, co spostrzegłem, dziwnem mi się wydało... Kobieta płakała, a człowiek trzymający jej rękę, szeptał słowa pociechy... Nie myślałem wcale ich podsłuchiwać, ani myślałem o zasadce; przypadek mi usłużył jak zawsze mężom zazdrosnym i oszukiwanym. Wtenczas instynkt mojego głupiego położenia obudził się we mnię; chwyciwszy się nagle podstawy, ukryłem się nieco, aby lepiej widzieć, nie będąc widzianym; mój wzrok śledził, przeszywał ich, chciwy nieszczęścia, które przeczuwałem i którem chciałem się nasycić. Nie chciała mu przebaczyć, a on błagał w imię sympatji, przyjaźni... Posłyszałem wyrazy uwielbienia, szacunku, podczas kiedy snać dla tego, aby więcej dowieść owego poważania obejmował ją wzrokiem gorącym, przyciągał do siebie, i na jej czole schylonem wycisnął pocałunek, prosząc o przebaczenie z wyrazem zachwytu. Nie przerywaj mi moje dziecię, podnieś głowę, nie zamykaj oczu, spojrzyj prosto w twarz prawdzie. Jakkolwiek okropne jest to opowiadanie dla nas obudwóch, musi się zakończyć, boć musisz go zabić przecie! Wtenczas słuchałem dalej ich rozmowy; głosy się podniosły, sądzili że są sami. On jej powtarzał że ją kocha, ona zapewniała go o swem przywiązaniu, oto był epilog idyli ogrodowej. Było to okropne; oparłem się o ołtarz, a moja ręka ściskała gwałtownie nóż ofiarny. Więcej jeszcze boleść, niż oburzenie mnie dławiła. Poznaj mnie zupełnie. W obec tego obrazu uczułem, że i ja tak kocham ową osobę młodą, piękną, która była moją, na którą sobie zasłużyłem, której nie posiadałem dosyć, a inny mi ją zabierał. Nie byłem upokorzony obrazą, byłem zazdrosny, że jego przeniosła nademnie. Dzika złość przebiegła po moich żyłach i paliła mnie w skroniach. Wyszedłem z cienia, i zbliżałem się ku nim pijany, pieniący się, straszliwy bez wątpienia, jak te bóstwa, o które się potykałem, trzymając ciągle ów nóż złowrogi w ręku. Spostrzegłszy mnie, porwali się oboje; mężczyzna naprzód postąpił. Nie przemówił doń ani słowa i nie słyszałem ani jednego; uderzyłem go nożem, jak pięścią mocną. Upadł... Kobieta wydała krzyk przeraźliwy z obawy czy z odrazy. A! ten krzyk! był jak tryśnięcie witryoleju. Uderzył mnie w czoło, zalał oczy, twarz, serce. Potoczyłem się, o małom nie oszalał. Wstrząsnąłem się jak zwierze dzikie, krwi chciwe. Kobieta biegła, ażeby uciekać, lub wołać o pomoc. Do drzwi nie miała więcej nad pięć kroków; nie widziała ich lub bała się światła jak otchłani. Obiegała w koło mego biurka uderzając o meble, przewracając je lub popychając, a ja goniłem ją... dosięgnąłem... uderzyłem... Odpowiedziała jakby śmiechem nienawiści, czy pogardy; nie upadła jednak,

tylko skrwawiona, otumaniona dobiegła do drzwi; mogłem ją jeszcze raz uderzyć na progu; ale teraz zdawało się że skrzydeł dostała, tak leciała do parku; biegłem za nią, pewien, że ją dogonię i zabiję, tak moja chuć zwierzęca była pewna zwycięztwa. Wyobraź sobie, jeżeli możesz ową pogoń niemą. Siostra twoja widziała to; jakim sposobem nie umarła na ten widok? Ja po dokonanem zabójstwie, chciałem umrzeć. Mozela płynęła o sto kroków od domu. Zbiegając z pagórka nieprzytomna, czy też pragnąc sobie życie odebrać, aby mi zbrodni oszczędzić; Wiktorja prosto biegła do rzeki. Wśród mego szaleństwa, litość mnie jednak ogarnęła, chciałem ją dogonić i powstrzymać nad brzegiem. Wołałem na nią, czy też chciałem zawołać. Jej imię ugrzęzło mi w gardle... Pośliznęła się i wpadła z łoskotem głuchym do rzeki: krople, wydające mi się kroplami krwi bryznęły mi w twarz... oprzytomniałem na chwilę. Chciałem się rzucić, aby ją uratować, lub wraz z nią umrzeć, gdy uczułem obok siebie oddech gorący. Obróciłem się, pan de Somery zaledwie raniony, biegł za nami i dogonił; był blady, groźny, oburzony. Byłem jeszcze szalony, ale już nie miałem siły zabijać. Wskazałem na Mozelę, w której nurtach jego i moja ofiara tonęła, i nie obróciwszy się nie czekając, powróciłem do pałacu tym samym krokiem ociężałym, z wyrzutami budzącemi się w sercu. Powracałem aby umrzeć. O kilka kroków od pałacu, wśród krzaków ocieniających ławkę kamienną, na której Blanka zwykle się bawiła, spostrzegłem ją leżącą na piasku; zdawała się nieżywą. Przeląkłem się tem nowem morderstwem; przywiązanie ojcowskie, macierzyńskie obudziło się we mnie jak miłość. Ukląkłem, podniosłem dziecię, pochylając się pod tym lekkim ciężarem, nie śmiejąc ocucić memi pocałunkami, ale wołając głosem ochrypłym ratunku. Gdy Blankę położyłem na łóżku, spostrzegłem, że skrwawiłem krwią matki jej poduszeczkę i że ciągle nóż w ręku trzymałem...

W tej chwili dał się słyszeć krzyk stłumiony, p. de Moranes przerwał i spojrzał na drzwi.

Abel pobiegł otworzyć. Blanka leżała omdlona w ciemności, jak w ów dzień, gdy ją ojciec w parku znalazł. Podczas gdy brat ją podnosił i starał się obudzić pocałunkami, ojciec wyrzekł cofając się i ocierając zimny pot z czoła:

— Dobrze, że słyszała, skoro widziała. Teraz wie to, o czem jej nie śmiałem mówić.

Pozwolił dzieciom się oddalić, a wszedłszy do biblioteki zwrócił się zwolna do owego kamienia ofiarnego, oparł o niego ręce, podobnie jak przed dwunastu laty, ażeby je oziębić i samemu się ochłodzić owem zimnem grobowem.

VIII.

Panna Dumesnil zaczytana w swym romansie pozostała w saloniku. Ostatnie stronnice są najciekawszemi, więc chciwie je pochłaniała. Z głową wyprostowaną, wyciągniętemi rękoma, oczami skierowanemi na książkę, czytała jak owe dewotki gdy się modlą, poruszając ustami, połykając słowa. Połysk czerwoniawy ognia w kominie tlejącego, odbijał się na jej bladej, pergaminowej twarzy.

Właśnie w chwili stanowczej, gdy długo oczekiwany mściciel miał się ukazać w romansie, usłyszała panna Dumesnil kroki w wielkim ciemnym salonie. Przestraszyła się radośnie. Czy fikcja rzeczywistością się stawała?

Zamknęła książkę i spoglądając w około z pewną bojaźnią, zapytała:

— Słyszysz kochanko?

Zwracała się do Blanki i dopiero teraz spostrzegła, że jej niema a drzwi do salonu stoją otworem.

Abel wchodził niemi, niosąc siostrę na ręku. Był trupio blady, z oczami zaczerwienionemi. To zjawisko przewyższało wszelki dramat romansu i było więcej niespodzianem.

Powstała szybko a jej kości zatrzeszczały.

— O mój Boże! co się stało? Blanko!

Abel powstrzymał ją skinieniem głowy, złożył siostrę na wielkim fotelu i z uczuciem, które hamował od godziny, rzucił się przed nią na kolana, podnosząc ją, wstrząsając, pieszcząc, całując jej czoło, ręce, wlewając w nią życie; zapominając, że ją magnetyzmem miłości braterskiej zbudzi do nowych boleści.

Panna Dumesnil kręciła się z ową godnością macierzyńską, jaka ją cechowała w chwilach krytycznych. Pochyliła się nad wychowanicą:

— Zemdlona! trzeba ją orzeźwić czemkolwiek mówiła. Szukała po kieszeniach. Nie miała w kieszeni długiego flakonika z eterem, który zwykle nosiła; dziś fatalnym zbiegiem okoliczności zostawiła go w swoim pokoju.

— Zadzwonię — szepnęła.

— Nie — rzekł Abel nerwowo — nie dzwoń pani, nie wołaj nikogo.

— Sądzisz że to minie?

Panna Dumesnil nie śmiała zapytać, co zaszło takiego?

Abel poruszył się niecierpliwie i wstrzymał ciekawość nauczycielki, ta stała zaambarasowaną. Nie wiedziała co począć.

Abel ściskał siostrę febrycznie, nie puszczając jej. Panna Dumesnil urażona, ale zasmucona jednocześnie, stała wyprostowana, niema, z zaciśniętemi usty i przymrużonemi oczyma.

Abel szukał teraz ulgi za ów przymus posłuszeństwa synowskiego, któremu ulegał przez godzinę. W obec ojca nie śmiał i płakać, teraz dopiero pozwolił łzom płynąć do woli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jałmużna.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

II.

Jerzy Dumaines pochodził z uczciwej kupieckiej rodziny, ostatniemi wypadkami politycznemi mocno dotkniętej, i w kredycie zachwianej.

Starsi jego bracia, zmuszeni służyć wojskowo, nie wrócili więcej w progi rodzinne. Jeden usnął na wieki, pod całunem śniegowym w wyprawie rosyjskiej; drugi utonął między trupami w sławnym wąwozie pod Waterloo. Ojcu biednemu nowa partja nie chciała darować tego, czego on nie mógł i tak przeboleć; straty dwóch synów! Ten Moloch krwiożerczy wojną nazwany, pyta się kiedy ojców i matki, czy pozwolą oderwać sobie od łona dzieci najdroższe, i czy chętnie oddadzą je na ofiarę, by krwią z piersi wytoczoną zlewały jego ołtarze pożogą dymiące?

Dość że firma pana Dumaines, dotąd jedna z pierwszych w Lyonie, chyliła się coraz więcej do upadku.

On sam boleścią i zgryzotami trawiony, już tylko jak cień snuł się po swoim magazynie; zięć, który mieszkał wraz z żoną przy jej rodzicach, dzielnie mu dopomagał; ale, jak to mówią: „z próżnego nie naleje“. Kredytu nie mieli, odbytu na materje jedwabne prawie zupełnie nie było, bankructwo groziło co chwila.

Jerzy najmłodszy i najukochańszy w całej rodzinie, odebrał też i najstaranniejsze wychowanie. Że był przytem i niepospolicie piękny, liczono więc jak na cztery tuzy, że swoim sprytem handel podniesie, a świetnem ożenieniem, dawny jej blask firmie Dumaines przywróci.

Przeliczono się niestety! Od lat dziecięcych Jerzy wiecznie mazał tylko. Cegła roztarta, trochę sadzy z komina, węgiel i wapno od muru oderwane, wszystko mu za farby służyło. Każda niemal paka z towarem, była jego freskami ozdobiona; stoły i stołki, drzwi, a nawet części muru dokąd ręce jego sięgały, nie były wolne od jego zapędów malarskich. Wykradał się cichaczem, skoro podrósł trochę, do jednego z malarzy miejscowych. Tam podglądał ważne tajemnice rozcierania farb i mięszania kolorów, wreszcie pojął czem jest rysunek. Nadzwyczajną oszczędnością, potrafił złożyć sobie sumkę dwóch tysięcy franków, a wtedy oświadczył stanowczo, że idzie kształcić się na malarza. Nie pomogły prośby i groźby, łzy i zaklęcia całej rodziny, która w swojem prawdziwie mieszczańskiem zacofaniu, o sztuce nie miała najmniejszego wyobrażenia, a artystów kładła na równi z rzemieślnikami; tych ostatnich, jako pożyteczniejszych, nawet wyżej oceniając; ucałował ze łzami wszystkich po kolei, i poszedł piechotą do Paryża, za głosem słodko wabiącym, kochanki najniebezpieczniejszej, która się sztuką nazywa.

Kto dosięgnie szczytu i z owej wyżyny spojrzy dumnie na tę zimną i wyrafinowaną kokietkę, mówiąc jej stanowczo: „Tyś moja, zwyciężyłem cię siłą ducha i talentu, zbadałem wszystkie twoje tajemnice“ — temu tak sztuka jak i kobieta zalotna odda się z pokorą niewolnicy; uznającej pana nad sobą wyniosłe czoło laurem uwieńczy; pod stopy będzie słała kwiaty i najczulsze uśmiechy dla zwycięzcy swojego zachowa.

Ale biada temu, kto jej słabość swoją okaże, o miłości wiecznie jej prawić będzie, a powoli i mozolnie zechce się sławy dobijać. O! taki, zaledwie kiedy niekiedy uśmiech tej zwodnicy otrzyma, tyle tylko z swoich łask mu od czasu do czasu udzieli, by go wodzić dalej na manowce, by czar, którym go trzyma na wodzy, nie rozwiał się zupełnie, by ofiara przed czasem z rąk się jej nie wymknęła.

I Jerzy doświadczył zmienności tej Pani nielitościwej. Pracował zawzięcie, wytrwale; mistrze go chwalili; współuczniowie talentu zazdrościli, a jednak dotąd nie mógł się wznieść po nad poziom i to go strasznie gnębiło.

Po owem spotkaniu na rogu ulicy, wrócił prosto do domu. Wśród gwaru kawiarni mógł by mu się rozwiać ów obraz, owe cudowne zjawienie, które z całem skupieniem ducha, unosił w sercu i myśli.

Skoro nazajutrz dzień zaświtał, wziął się do roboty. Postać dziewczęcia, jakby w idealnem jakiemś źwierciadle odbita, coraz wyraźniej z płótna występowała. Brudna płachta, przemieniła się na białawą osłonę, w miękkich fałdach głowę i biust okalającą; na piersiach zwój fałdów misterny ręce na krzyż złożone przytrzymywały; na szyję lekko obnażoną, jak zwykle u każdej włoskiej Madonny, spadała złocista włosów kaskada; wzrok w górę wzniesiony, miał anielski wyraz bolesnej zadumy i słodkiej, nie ziemskiej rezygnacji. Za tło służył błękit nieba i chmurki z główek dziecięcych złożone, za któremi zdawały się gonić cudowne oczy Madonny.

Obraz szybko postępywał. Godziny mknęły niepostrzeżenie; artysta nie czuł głodu, nie czuł się strudzonym, tylko pracował dalej w chwili prawdziwego natchnienia.

Dzień miał się już ku schyłkowi, gdy drzwi pracowni Jerzego z trzaskiem się otworzyły, a do pokoju wpadła czereda jego współtowarzyszy, adeptów sztuki malarskiej, w języku francuzkim specjalnym nazwiskiem Rapins odznaczonych.

Hulaszczy to naród! Ukochanie rzeszy Gryzetek; rozpacz spokojnych mieszkańców — płci męzkiej rozumi się, gdyż płeć niewieścia, czuje pewną słabość dla tych jedynych w swoim rodzaju chłopaków — podpora

wszelkich balów podejrzanych; dusza Kankana i w ogóle wszystkiego co zakazane; Rapin tak jak Gamin jest dzieckiem bruku paryskiego. Trudno sobie wyobrazić Paryża, bez tych dwóch typów charakterystycznych — po za Paryżem zaś nie masz prawdziwego Rapin'a i prawdziwego Gamin'a! — chyba znajdą się nędzne kopje, wybornego oryginału. Otóż ta wesoła zgraja, zalała ni to przypływ morza wzburzonego cichą dotąd i spokojną izdebkę Jerzego.

— Kameduło gdzie siedzisz, że cię od wczoraj oko ludzkie nie widziało? — zainterpelował go pierwszy.

— Fiu! fiu! — drugi zawołał spostrzegając obraz zaczęty na sztalugach. Panowie, dwa kroki w tył, z wszelkiem uszanowaniem! Jerzy buduje arcydzieło. W kąt Madonny Rafaela.

— Szczęśliwy śmiertelniku! — huknął mu trzeci nad samem uchem. — Na jakiem śmiecisku wygrzebałeś tę perłę drogocenną, lub z jakiego Nieba spłynęła ta gwiazda, by olśnić cię swoją jasnością?

— I to gdzie się zjawiła? — z zazdrością czwarty zauważył. — W tej nędznej dziurze na poddaszu!

— Czy ty jeden masz przywilej na to Bóstwo tajemnicze? — spytał ostatni ze złośliwym przekąsem.

— Dalibyście pokój — przerwał gniewnie potok słów sam gospodarz. — Plecie jeden przez drugiego, aż uszy bolą! Oto po prostu, komu Bóg wlał coś więcej tu i tu — dotknął czoła i serca — niż reszcie rzeszy jedzącej i pijącej, którą ludźmi nazywamy; komu powiedział na jego dolę czy niedolę... Będziesz pracował raczej Duchem, niż ciałem, lecz nieraz przyjdzie ci zazdrościć tym szczęśliwcom, których czoło, uznaja praca fizyczna jedynie a nie znają tej strasznej walki wewnętrznej z Ducha niemocą" — otóż takim pracownikom, zsyła Bóg czasem, jako promień Swojej łaski, chwilę Objawienia. W nocy ja miałem taką chwilę i oto jej wspomnienie — ręką wskazał na obraz.

— Tak czy siak, możesz się nazwać szczęśliwym — ów zazdrośny wtrącił. — Ten obraz ustali twoją reputacją i krocie ci przynieść może.

— Nie mam go na spr zedaż — mruknął Jerzy niechętnie.

— Ha! ha! ha! — chórem się zaśmiali.

— Sam się bratku złapałeś. Widocznie to twoje Objawienie, było bardzo miłe w dotknięciu, skoro nie chcesz rozłączyć się z jego wspomnieniem.

— Proszę was skończcie te głupie żarty, bo wszelka cierpliwość się wyczerpuje, a moja, oświadczam stanowczo, już się nawet wyczerpała — ofuknął Jerzy swoich gości dość opryskliwie.

— Uuu! Zaszłapał, grubo zaszłapał, skoro się tak gniewa — jeden z wesołego grona znowu zauważył. — A więc dobrze, zgoda. O Objawieniu z ciałem, czy bez ciała, więcej ani mru mru! Dixit. A teraz chodź Kameduło, porzuć twoje Penaty, jeżeli na wieczór Objawienia się nie spodziewasz i zabaw się trochę z nami.

— Ach! te wasze zabawy? — Jerzy pogardliwie wzruszył ramionami.

— Bah! dla takiego półtora książecia, jak ciebie zawsze Fifina nazywa. Nam one atoli bardzo smakują; życie urozmaicają, krew zaraz w żyłach gra inaczej. Ty bo nawet nie spojrzysz na żadną gryzetkę a one bestyjki palą się do ciebie jak hubka na krzesiwie, każdego z nas gotowe porzucić, skoro byś skinął na którą.

Jerzy uśmiechnął się nieznacznie.

— O to możecie być spokojni. Pewno wam konkurencji nie zrobię.

— Naturalnie! Kto takie miewa Objawienia! — i z hałasem jak przyszli, za drzwi wylecieli, przemocą prawie wyciągając za sobą Jerzego.

III.

Obraz dawno już był skończony, z całą miłością i sumiennością artysty. Mistrz Jerzego darował mu nawet stare ramy, które sam odzłocił a robiąc raz w lecie wycieczkę do lasu, przyniósł sobie dwa piękne krzaki bluszczu, który starannie pielęgnowany, wkrótce zaczął owijać miłośnie, zielonemi splotami, piękną Madonnę.

Mnóstwo było na nią amatorów, nawet za kopję chciano mu dobrze zapłacić, on jednak, mimo iż walczył ciągle z niedostatkiem, strzegł swojej Madonny, jak skąpiec skarbu pilnuje. Nie dał jej na żadną wystawę, wreszcie przysłonił ją firanką przed oczyma obcych, jak zazdrośny kochanek i tylko gdy był sam, napawał wzrok rozkoszą niewypowiedzianą, wpatrując się godzinami w swój ideał.

Niemal co dzień odwidzał ową ulicę, zatrzymywał się pod wysoką, omszałą kamienicą, zaglądał do jej okien, czy mu się nie zjawi raz jeszcze, owa cudowna twarzyczka, owa postać wiotka, o której serce dotąd zapomnieć nie mogło.

Raz nawet wiedziony tęsknotą, wszedł do kamienicy, czy też nie dowie się czegoś o swojej nieznajomej Czuł że to prawie niepodobna, nie mając najmniejszej wskazówki; czuł, że ją takiem dopytywaniem może tylko skompromitować, jednak głos serca, rozum zagłuszył i zadzwonił do loży portjera.

Na swoje nieszczęście, zastał tam jedynie straszną babę, obrośniętą włosem ostrym jak szczecina a mrukliwą jak niedźwiedź ruszony z wygodnego legowiska. Istny ten Urangutan w spodnicy, ofuknął z miejsca Jerzego, skoro zapytał, jacy są w kamienicy lokatorowie?

— A panu co do tego? Czyś tu co zgubił, he?

— Szukam szwaczki, której moja matka potrzebuje — bąkał Jerzy nieśmiało, kłamać nieprzyzwyczajony. — Tak i tak wygląda. — Kilkoma słowy opisał nieznajomą.

— Ta! ta! ta! — zaryhotała drwiąco stara czarownica. — Matka... szwaczka... a nie wie gdzie mieszka i jak się nazywa... Starego wróbla nie złapiesz na plewę. Jest ich tu dosyć, tych Marmuzel, wykrygowanych, jakby się złamać miały, a strzelających oczyma na wszystkie strony, Boże odpuść! jakby sam djabeł świeczki im we łbie pozapalał. Ale ja tam nie gach, toć im w ślepie nie zaglądam i nie wiem jak która wygląda. Zresztą mój panie, to uczciwa kamienica, a nie żaden dom do zabawki dla młodzików, matka Houlin zaś, także sobie kobieta, jak Bóg przykazał, nie żadna jakaś stręczycielka, zrozumiałeś pismo nosem? — wzięła sie groźnie po pod boki. — No! jakieś zrozumiał ptaszku szukający szwaczek dla mamuńci, toć się wynoś pókiś cały! — i drzwi mu przed nosem zatrzasnęła.

Nie było rady innej, tylko umknąć, z placu, by nie spotkać się w dodatku z miotłą mamy Houlin. Ostatnia iskierka nadziei, zgasła w jego duszy. — Ugłaskać takiego Cerbera — pomyślał — toć łatwiej byłoby, rzucić się samopas na armat baterje i zdobyć takowe! Trzeba pożegnać się na wieki z ową czarowną postacią.

Nadeszła rocznica owego dnia pamiętnego, ósmy Grudnia.

W tym roku był czas odmienny. Mroźny, lecz suchy, bez wiatru i bez śniegu. Nawet słońce, wprawdzie blade, jak twarz staruszki zgrzybiałej, oświetlało zimowy horyzont, rozweselając cokolwiek smutną i szarą ziemi powłokę.

Jerzy cały ten dzień błąkał się po Paryżu, jak ciało bez duszy; wreszcie skierował swe kroki, ku odległemu cmentarzowi Montmartre.

Zdziwił się spostrzegłszy z daleka przed bramą cmentarną paradny wóz pogrzebowy. Na cmentarzu rozlegał się śpiew księży i biła łuna od licznych świec jarzących i pochodni. Nie opodal stał ekwipaż wytworny ze służbą w żałobie.

Wszedł na cmentarz zaciekawiony i skrył się za jeden z pomników. Montmartre nie zwykł był tak dostojnych gości przyjmować.

Nad grobem świeżo murowanym który jednak do dawniejszego jakiegoś grobu przytulono, księża kończyli modlitwy, murarze grób pospiesznie zamykali a o kilka kroków kilkudziesięciu robotników czekało z grubemi sznurami i innemi przyborami w ręku by ustawić natychmiast pyszny obelisk marmurowy, porozkładany dotąd na ziemi. Na podstawie z czarnego marmuru, lśniły z daleka napisy z dużych złotych liter złożone, odległość była jednak za wielka, by je można odczytać.

Nad grobem klęczała postać kobieca, kosztowną szubą czarną aksamitną otulona. Takiż kapturek i gęsta woalka, twarz jej zupełnie zasłaniały.

Zdawała się bolem złamana i jakby do ziemi przybita.

Nad nią pochylony stał mężczyzna nie młody; wysoki, sztywny, rudawy; również o ile się zdawało przejęty smutnym obrzędem.

Gdy śpiew ucichł a księża rozchodzić się zaczęli, mężczyzna przemówił z cicha do postaci klęczącej i ta z jego pomocą, zaczęła powoli dzwigać się z ziemi. Stanąwszy na nogi, obejrzała się w około, a gdy jej wzrok skrzyżował się z oczami ciekawie zapatrzonemi Jerzego, który teraz wysunął się z po za pomnika, głuche Ah! wyrwało się z jej piersi, zachwiała się i byłaby upadła niezawodnie, gdyby nie silne ramię mężczyzny, które ją w sam czas przytrzymało.

— Czy ta pani mnie wzięła za nieboszczyka który strzeże od napaści grobu własnego? — szepnął Jerzy. Nie myślałem, że tak widmowato wyglądam. Boże! Moja nieznajoma! — on znowu zawołał, blednąc strasznie i ręką za serce się chwyciwszy.

Aby mdlejącą otrzeźwić świcżem powietrzem, mężczyzna jednym ramieniem ją podtrzymując, drugą ręką podniósł woalkę i Jerzy ujrzał swoją Madonnę równie bladą i równie piękną, tylko w innym zupełnie otoczeniu. Nieznajoma ochłonąwszy z przestrachu, wsparta na ręku mężczyzny, powlokła się krokiem chwiejnym do bramy cmentarnej. Więcej się nie oglądała. Jerzy powiódł za nią wzrokiem błędnym; skamieniały nie miał sił ruszyć się z miejsca. Dopiero gdy drzwiczki karety się zamknęły, a powóz głośno zaturkotał; porwał się oburącz za głowę, żeby mu od nawału myśli plączących się po niej nie pękła i głucho jęknąwszy oddalił się z cmentarza.

— Czy to sen, czy jawa? — myślał przez drogę. — Czy mnie już zmysły odstępują i ja wszędzie widzę ową postać czarowną? Nie, nie, to nie ona! To nie moja biedna, uboga dzieweczka. O tamtej śniłem błogo że kiedyś ją odszukam, do serca kochającego przycisnę, powiem jej „podziel moje ubóstwo, we dwoje lepiej nam będzie pracować.“

— Widziałem ją w duchu, krzątającą się po mojej biednej izdebce, ni to promień słońca, rozweselający celę więzienną... jej cudne oczy we mnie zapatrzone... słodkim uśmiechem wabiącą mnie ku sobie... O! było to czarowne marzenie! Ale ta wielka, dumna pani w aksamitach, cóż ona mnie obchodzi? Cóż między nami może być wspólnego? Ale jak ona śmiała, zabrać biednej dziewczynie jej postać czarowną? Czyż nie dość jej było, tej damie wielkoświatowej, bogactw, przepychu, który ją otacza; moja śliczna rusałka, posiadała skarb jedyny, swoją urodę nadziemską; i po ten skarb sięgnęła ręka świętokradzka zwodnicy salonowej.

Skoro przyszedł do domu, odsłonił firankę a wpatrując się w twarz Madonny:

— Tyś moja święta, moja czysta, choć biedna dzieweczka — szeptał miłośnie. — Skromna, biała lilijka, naszych wód rodzinnych. Tamta, odbicie twoje zwo-

dnicze, to Victorja Regina, pyszny kwiat Nenufaru, po morzach indyjskich pływający. Ciebie jedynie biała lilijko ukochałem, ciebie całem sercem pożądam, i bez wahania przytulę cię do mego łona, w owych brudnych łachmanach, świadczących żeś czystą w twej nędzy została, żeś duszy wraz z ciałem nie zaprzedała za złoto i aksamity. O! gdyby ciebie odszukać, moja jedyna a tej drugiej zwodnicy więcej nie spotkać! — Cały wzburzony ukrył twarz w obu dłoniach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rachunek sąsiedzki.

OBRAZEK.

Z panem Kajetanem żyjemy jak dwaj rodzeni bracia a choć on przeniósł się o trzy mile dalej do majątku żony i nie widujemy się tak często, to zawsze przyjaźń sąsiedzka trwa niby ta opoka, na której Piotr św. zbudował kościół. Przyznaję, że do utrzymania tej opoki przyczyniała się najskuteczniej filozofia żony mojej, która mi ciągle kładła w uszy: „Wojtusiu, chcesz z sąsiadami żyć w zgodzie — unikaj interesów“. Ale przeszłego roku spotykamy się raz na jarmarku z panem Kajetanem.

— Masz sąsiad dużo jęczmienia?

— Mam.

— Sprzedaj mi sto korcy na słód.

— Dobrze — odpowiadam, zapomniawszy o przestrogach żony.

I przyszła zgoda prędko: po ile? — po tyle. Na wagę? na wagę. Z odstawą? — z odstawą.

Idzie pierwszy transport 25 korcy. Jestem przy wadze, a że worki nierówne, więc panie dobrodzieju ważymy po pięć naraz. Piszę rachunek tyle a tyle funtów, potrącając wagę worków, — zostaje na czysto tyle.

Wracają furmanki. Jasiek fornal podaje list a w liście pan Kajetan pisze: „Szanowny sąsiedzie, kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak żydzi... Sam byłem przy odbiorze, brakuje na całym transporcie osiemdziesiąt sześć funtów...“

— Ki djabli — myślę sobie — sam byłem przy wadze, na każdej partji przeważało parę funtów, worki dobre, a za uczciwość i wierność Jaśka dałbym szyję.

Rusza drugi transport, każę dosypywać po funcie więcej na worku, bo przecież nie idzie mi o te głupie półkosza jęczmienia, ale o sąsiedzką rzetelność i honor obywatelski, żeby człowieka nie mieli za takiego...

Znowu jest odpis, znowu rachunek i znowu brakuje coś siedmdziesiąt kilka funtów.

— Hultaje ukradliście! — krzyknę na Jaśka, a jego szczęście że nie mam nic w ręku, bobym go był lunął, taka mnie wściekłość opanowała.

Chłopaczysko się sumituje, przysięga, widzę łzy nawet stają mu w oczach, ale mnie to nie wzrusza; posyłam po wagę do księdza proboszcza — sprawdzamy, rychtyk pasuje z moją!

— A byłeś przy wadze? — pyta go żona, która lubi się do wszystkiego wścibić, zwyczajnie jak kobieta.

— Nie byłem, bo oni tam sami ważyli w słodowni.

— A pan Kajetan był?

— Pono był...

— Nic nie pomoże, muszę ja sam pojechać. W tem jest coś... Przecie tylu się ludziom waży i kupcom i na kolei a nigdy nie brakowało.

— Słuchaj Wojtusiu — mówi żona — przy trzecim transporcie ja sama dopilnuję wagi.

— Cóż, to ja się już nie znam, czy co! — ofuknę.

— No, no, no, co ci to szkodzi, pozwól, a przekonasz się, że nie będzie brakowało.

Była, napisała rachunek jak się należy, a kiedy przychodzi odpis od Kajetana, ja się już nie mogę wstrzymać od śmiechu.

— A co Maryniu, co co? — mówię do imości, która mi na list przez ramię zagląda, zwyczajnie jak ciekawa kobieta — co nie brakuje? czytaj ośmdziesiąt dwa funty...

— Ile, ile?

— No ośmdziesiąt dwa funty! i gdzież jest twój babski rozum i dozór?

— To dobrze — odpowiada na to z flegmą — dobrze się wyważyło. Nietylko że nic nie brakuje, ale jest więcej 78 funty.

— Weź moja duszko okulary i czytaj — rzeknę z ironją. — Brakuje, brakuje ośmdziesiąt dwa funty... Że też wam trzeba wszystko łopatą kłaść w głowę.

— Wiem, wiem — odpowiada drwiąco — prawda brakuje 82 funty, ale to dobrze, bo powinno brakować 160, tak kazałam naważyć.

— Jakto? poważyłaś się...

— Poważyłam, i powiem ci prawdę umyślnie, aby się przekonać.

Otworzyłem gębę od ucha do ucha.

— Masz przerachuj moją notatkę...

Przeliczyłem; jak raz powinno być o 160 funtów mniej, a on powiada że tylko 82... A niechże cię miljon weźmie... Prędzejbym się pozwolił powiesić, niż pomyśleć że Kajtuś... Ot miejże tu wiarę w ludzi i spuść się na kogo...

— Taki świat teraz — powiada Marynia — inaczejby ludzie nie robili majątków, a wiesz przecie że pan Kajetan robi...

Chciałem natychmiast jechać i panie dobrodzieju napluć mu w oczy, ale żona powiada, poczekaj, ja mu sama napiszę, przy ostatnim transporcie...

Więc jeszcze poszła jedna partja w ten sam sposób o 160 funtów mniej niż stało w rachunku a sąsiadowi brakowało tylko siedmdziesiąt sześć funtów teraz.

— Masz przeczytaj list jak mu napisałam — rzecze imość, podając mi swoją bazgraninę.

„Łaskawy sąsiedzie dobrodzieju!

Dobrze mówi przysłowie, że kobiety mają długie włosy, a rozum krótki, dlatego racz mi pan darować mimowolną pomyłkę w obrachunku jęczmienia, jakiej się na jego niekorzyść dopuściłam. Mąż nie był przy wadze dwóch ostatnich transportów, bo nie miał czasu, więc ja po kobiecemu jak zaczęłam rachować i pisać, tak podałam raz i drugi o 160 funtów więcej niż było rzeczywiście. Widocznie łaskawy sąsiad nie chciał nas bardzo martwić donosząc, że brakuje tylko raz 82, drugi raz siedmdziesiąt sześć. Bóg zapłać i za taką delikatność ze strony sąsiada. Ostatni transport już jest w porządku z dosypką 320 funtów, spodziewam się, że teraz rachunek się wyrówna i będziemy jak dawniej dobrymi sąsiadami...“

Na to pan Kajetan odpisał bardzo grzecznie, że nie może przyjąć tych 320 funtów, bo pokazało się, że to gorzelany jego w ten sposób manipulował na swoją korzyść; teraz on sam wagę sprawdził i czuje się w obowiązku przeprosić stokrotnie za taką pomyłkę.

— Bardzo być może — mówię na to do żony — że gorzelany.

— I ja temu chcę wierzyć! — dodała kiwając filuternie głową — ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Albert Wilczyński.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W Maniecki.